



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebiera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

POGA WĘDKA.

Źródło rozkoszy dla publiczności warszawskiej w tegorocznym adwencie nie było zbyt obficie, ale i z tego wąskiego strumienia, który przyniósł nam kilka odczytów, koncertów i autów, niezbyt skwapliwie korzystaliśmy jakoś.

W Resursie Obywatelskiej grono techników prawilo zajmujące rzeczy o swojej specjalności na korzyść Szkoły Rzemiosł przy ulicy Jasnej, ale słuchaczy nie zebrało się nawet tylu, aby pokryć wydatki urządzenia odczytów; dopiero dwa ostatnie wykłady znanego i lubianego powszechnie chemika, p. Napoleona Milicera, o tem, jak się robi cukier z buraka, zainteresowały szersze koło słuchaczy i słuchaczek i przyczyniły się do wyrównania niedoboru.

Nie ubliżając, wcale erudycy i znakomitem zaletom prelegentkim p. Milicera, który przedmiot swój ma, jak to mówią, w małym palcu, a opinią zdolnego mówcy ustaloną — jesteśmy przekonani, że i ta część publiczności, która przyszła posłuchać jego wykładów o fabrykacji cukru, dała się znieść więcej eksperymetom zapowiadzianym, aniżeli samemu tematowi i celowi odczytu.

Ludek nasz jest ciekawy, lubi patrzeć na rzeczy, których nawet nie rozumie, częściej idzie zobaczyć, aniżeli posłuchać prelegenta, nie zajmuje go tyle, o czem mówią, ile, kto mówi.

Niepowodzenie materyalne odczytów z dziedziny techniki było objawem niezbyt zachęcającym do urządzania prelekcji publicznych, które w gruncie rzeczy, o wiele więcej pracy i zachodu wymagają, niż koncert lub teatr amatorski. Inna rzecz wystąpić na estradę z nastrojonem gardłem, lub usiąść do fortepianu, a inna stanąć na mówni-

cy z opracowaną rozprawą, która ma nauczyć i zająć słuchaczy, do której niekiedy miesiące całe poświęca się przygotowań, by stworzyć jednogodzinną prelekcję, wchodzącą często słuchaczowi w jedno, a wychodzącą drugim uchem.

Jakże przykrym jest później w nagrodę pracy i dobrych chęci widok... pustych krzeseł w sali i garstki zabłąkanych słuchaczy!...

Obojętność taką podwójnie jest przykłą, bo świadczy o braku w publiczności pocucia uznania dla prelegentów i poparcia dobroczynnego celu, który u nas jedynie wyprowadza na katedrę ludzi nauki i talentu pisarskiego.

Zarząd Towarzystwa Osad Rolnych, nauczony ostatniem doświadczeniem, iż Warszawę nowość tylko bawi i zajmuje, postarł się podobno o zamiejscowe znakomości literackie i krytyczne, które w przyszłym poście stanąć mają na katedrze prelegentkiej w Sali Ratuszowej i aż z Paryża, Wiednia, Poznania i Krakowa zjadą z gośćcinami w formie odczytów.

Będziemy zapewne znowu tłoczyli się, jak niegdyś na prelekcye, które owego czasu stanowiły jeden z ważniejszych wypadków tygodnia, w kronice ruchu umysłowego Warszawy.

Zanim karnawał się rozhula, mamy jeszcze zapowiedzianych kilka koncertów, większem powodzeniem od innych publicznych popisów uświetnionych obecnie i dwa odczyty o zastosowaniu fotografii do sztuk pięknych i przemysłu. Odczyty mają być objaśniane doświadczeniami, cały zaś dochód obrócony zostanie na pomnożenie funduszów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Cel ten wysuwa się obecnie na pierwszy plan, z kilkoma innemi, odkąd Towarzystwu zagroziła przymusowa rumarnia z dotychczasowego lokalu w gmachu pobernardyńskim, a sprawa wybudowania własnego gmachu, stała się bardziej jeszcze nagłą.

Dzięki energicznym staraniom komitetu składkowego, zdołano podnieść fundusze rezerwowe

Towarzystwa do 30,000 rs. ale jest to zaledwie trzecia część summy potrzebnej do przeprowadzenia budowy własnego domu.

Lokal dzisiejszej wystawy sztuki zajęty będzie przez Muzeum Rolnictwa i Przemysłu, a temsamem wystawa znajdzie się na bruku, jeżeli nie będzie musiała ze znacznym wydatkiem nowym pomieścić się w innym odpowiednim lokalu: dziś bowiem za dobrowolny datek 150 rs. rocznie, Towarzystwo korzystało z „Salonu“ przy Krakowskim Przedmieściu, ale za taką cenę przy drożźnie mieszkań nie wynajmie nawet komórki na skład dla swoich zbiorów.

Zabrano się też ze zdwojoną energią do zbierania składki i szukania funduszów nowych, a ogół całego kraju, niesamej tylko Warszawy, powinienby przysięść z pomocą tym usiłowaniom, wzniesienia godnego przybytku sztuki, będącej dziś naszą chlubą i świadectwem niespożytej żywotności twórczego ducha w społeczeństwie.

Zjawiła się propozycja nie do odrzucenia, by Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych połączyło swe lary i penaty pod jednym dachem z Towarzystwem Muzycznym, które również wysokie opłacać musi komorne i korzystać z gościnności teatru naszego.

Możeby ta wspólka doprowadziła prędzej do pożądanego rezultatu; tylko że obaj współnicy dotychczas rozporządzają jedynie fikcyjnemi kapitałami, a te, jak wiadomo, częściej do bankructwa, niż do majątku, prowadzą.

Wspominaliśmy już o przesileniu finansowem, które w ostatnich czasach przechodzi nasz świat kupiecki i przemysłowy; jedna za drugą upadają firmy handlowe, a różnice między ogólnem *debit* a *habet* dochodzą do milionów rubli.

Najspokojniej jeszcze zasypiają na swoim kawałku ziemi rolnicy, wiedząc, że im żaden giełdowy kataklizm gruntu zpod nóg nie wyrwie, żadna fałszywa spekulacja w jednym dniu w działów ich nie zamieni.

Na projektowanej w 1885 r. powszechnej krajowej wystawie rolnictwa i przemysłu, przekonamy się, ile kroków w tył czy naprzód zrobił nasz dobrobyt i rozwój gospodarstw ziemskich.

Chciano pierwotnie pośpieszyć się i już w roku przyszłym, zamiast zwyczajnej wystawy inwentarza na Placu Ujazdowskim, urządzić na wielką skalę wystawę rolniczo-przemysłową; ale w porę odezwały się głosy, przestrzegające przed możliwym *fiasco*, z powodu takiego przyspieszenia terminu.

Naszem zdaniem, właściwem-by nawet było zaniechać zupełnie zwyczajnej ekspozycji koni i bydła w roku przyszłym, aby hodowcom zostawić więcej czasu do przygotowania się na wielki popis.

Po rezultatach tegorocznych niewiele mamy nadziei, abyśmy, zwłaszcza wobec projektowanej ogólnej wystawy w 1885 roku, zobaczyli coś niezwykłego w dziale inwentarza żywego na Placu Ujazdowskim w przyszłym Czerwcu.

Łącznie z gospodarstwem wiejskiem przypomina się nam projekt p. Zygmunta Jaroszewskiego, redaktora *Gospodyni wiejskiej*, w sprawie założenia muzeum mleczarskiego w Warszawie, któreby objęło wszystkie przyrządy, naczynia, zaprowadziło ulepszenia i wypróbowano takowe w zakresie produkcji nabiałowej.

Zdaje się, że ten projekt zainteresować-by powinien nasze gospodynie, dla których dochód z obory nie jest obojętnym, a każdy grosz zwiększonego zysku, każdy procent lepszego zarobku, w dzisiejszych, naprawdę ciężkich, czasach, lekceważonym być nie może.

Czas już wielki, abyśmy się lepiej rachować zaczęli z tem, co mamy, a co-bysmy mieć mogli, czego za dużo, a czego za mało nietylko, w naszych budżetach materyalnych, ale i w duchowych, w jaki sposób podnieść i utrzymać równowagę sił i środków, zarówno w kieszeniach jak i w umysłach, w majątku moralnym i fizycznym naszego pokolenia.

Ten temat nasuwa nam uwagę o rzeczy bardzo zaniedbanej w naszym społeczeństwie, o wychowaniu dzieci naszych i młodzieży, której zdrowie ducha i ciała decydować będzie kiedyś o przyszłości całego ogółu.

O zdrowiu duchowem nie możemy ani tak jasno, ani tak obszernie mówić w tem miejscu, jak-by tego ten przedmiot dziś zwłaszcza wymagał, — ale o fizycznym chcemy słów kilka powiedzieć.

Dość spojrzeć na młodsze nasze pokolenia wybladłe, nikle, słabowite, wydelikaczone, aby zrozumieć, w czem leży zło, grożące przyszłym obywatelom i obywatelkom kraju, przyszłym ojcom i matkom rodzin, aby się przekonać, że ginie tradycyjna niegdyś tężyzna, a ginie, nietylko z naturalnego braku sił w organizmach, ale i z pomijania lekkomyślnego warunków prawidłowego ich rozwoju.

Wada ta staje się niemal ogólną w wychowaniu dzisiejszem, ale mści się i pokrzywdza najbardziej płeć słabą, która więcej, niż kiedykolwiek zasługuje dziś na taką nazwę. Zamiast zdrowych, czerstwych, rumianych dziewczynek, które kwitły dawniej w każdym niemal domu, mamy dziś blade, anemiczne, z zawiązkami ukrytych chorób laleczki, na które smutno patrzeć. Wyrastają z nich wątłe jakieś, egzotyczne płonki, dla których pora rozkwitu jest najczęściej całą krótką wiosną i blaskiem życia, a które pierwszy owoc łamie i pochyla zwiędnięte ku ziemi.

Dość przejrzyć większość małżeńskich stadel ostatniej daty, aby się przekonać o zastraszających skutkach zaniedbania w fizycznym wychowaniu naszych panien.

Po miodowych miesiącach rozpoczynają się najczęściej całe lata gorzkiej pokuty, a doktor staje się niemal nieodzownym uzupełnieniem między mężem a żoną.

Młode mężatki i matki zdrowe przechodzą do wyjątków, a lekarze nie tają się dzisiaj z tem zdaniem, wywnioskowanem z coraz liczniejszej praktyki swojej, że normalnie zdrowych kobiet prawie niema w Warszawie w klasie średniej społeczeństwa.

Straszne to i smutne nad wyraz, a potrzeba zaradzenia złemu staje się, nietylko koniecznością,

przeciw degeneracji społecznej, ale i obowiązkiem sumienia wychowawców.

Sumienie to powinno matkom ciężką odpowiedzialność przedstawić przed oczy, za wychowanie dzieci, które nie z własnej winy pokutują w późniejszym życiu, w późniejszych związkach małżeńskich i rodzinnych i łamią sobie lub drugim szczęście całego życia, do którego trzeba również pewnych praw i warunków fizycznych.

W hygienie wychowawczej, mnóstwo popełniamy błędów, chuchamy i dmuchamy zanadto, albo wysilamy nazbyt i przedwcześnie te wątłe istotki, które wyrastają i rozwijają się pod kłutą przesadą, rutyną, mody, towarzyskiego konwensu, krepnących więzów fałszywej pruderyi, rodzicielskiej lekkomyślności i wahania się pomiędzy uświęconem: „uchodzi i nie uchodzi“.

Gymnastyka, taniec, ślizgawka, jazda konna, jak wszystko, co rozwija organizm, daje swobodę ruchów i sprężystość mięśni, zeszło u nas na ostatni plan w wychowywaniu młodego pokolenia.

Chłopca chowa się tak, by jaknajrychlej mógł dorwać się własnego „kawałka chleba“, choćby mu siły do jego ułamania zabrakło; — dziewczynę, aby jaknajprędzej wydać za mąż i pozbyć się z domu kłopotliwego ciężaru, choćby potem padła całym ciężarem mężowi na głowę i ręce.

Oto najczęściej dwie dewizy i dwa cele wychowania.

Te smutne reflexy zakończymy równie smutnem wspomnieniem o śmierci pracowitego pedagoga i pisarza s. p. *Boczyńskiego*, jako też serdecznej przyjaciółki i zasłużonej wychowawczyni liczego pokolenia panien s. p. *Laury Guérin'owej*.

Pierwszemu dawne a wdzięczne uczennice chcą postawić pomnik w fundacyi stypendyum jego imienia; dla drugiej ogólne uznanie powinno się zdobyć choć na kamień grobowy od byłych pensyonnarek.

Niech spoczywają w pokoju i w dobrej pamięci u tych, którym oświecali serca i umysły przez lat tyle!

* * *

A teraz, starym zwyczajem, bierzemy w rękę opłatek i stajemy przed naszymi czytelnikami z życzeniem wesołych świąt, pomyślniejszej doli, lepszych sił do pracy, w sprowadzaniu dobrych a w przetrwaniu złych losów.

KSIAŻKI DLA DZIECI

I MŁODOCIANEGO WIEKU.

(Dokończenie).

Tuzin komedij dla młodzieży, przez L. Świdarskiego, jest dla rozrywki i pożytku młodego świata wybornie pomyślaną książką. Przedstawianie małych, odpowiednio napisanych sztuk dramatycznych, należy do bardzo pedagogicznych zabaw, bo z jednej strony uczenie się roli jest ćwiczeniem pamięciowem, z drugiej lekcya to dobrej wymowy, lekcya czystego języka, co przedstawia względ tak ważnego w wychowaniu znaczenia, że już nic więcej dodać nie trzeba, aby tę odwieczną zabawę uczącej się młodzieży zalecić rodzicom i wychowawcom, jako rzecz bardzo, bardzo pożyteczną. *Tuzin komedij* dzieli się na cztery części: pierwszy, kruciuchny obrazek: *Imieniny mamy* przeznaczony jest dla siedmioletniego chłopczyka i siedmioletniej dziewczynki, z osobą starszą — matką przedstawiającą; następne są coraz dłuższe, pisane dla aktorów coraz starszych, bo aż do lat 17. Książka więc była przeznaczoną, w myśli autora, dla starszego i młodszego rodzeństwa, czyli dla rodziny zebranej u ogniska domowego. Pomysł to bardzo szczęśliwy, a wybija się z niego wszędzie tendencya uczciwa, szlachetna, tylko powiedzieć-by można, że pióro znużyło się ku końcowi: cztery ostatnie obrazki nie posiadają miłej werwy i polotu poprzednich i zapewne wskutek tego występuje w nich wada bardzo

szkodliwa w pismach dla młodocianego wieku: szarżowanie dowcipem, kłócące się z estetyką i względami pedagogicznymi. Komedyjka *Dzieciaki* czyni z sędziwego starca, dawnego wojaka, taką postać komiczną, która uchodzi w farsie dla dorosłych, ale która tu jest wcale nie na miejscu, i powiedzieć trzeba, że cały ten obrazek jest zupełnie chybionym, tak w pomysle, jak w wykonaniu. Wnuczka starego wiarusa, który występuje z parasolem do ataku przeciw marzonym zbójcom i napastnikom, Linia, piętnastoletnia panienka, znajduje podedrzwiami przez sąsiadkę zgubiony list romansowy, bierze go na swój rachunek, układając sobie w głowie, że oświadczającym jej sentymenta swoje jest siedemnastoletni gimnazysta, pupil jej dziadka, Mundzio. Czuje się więc bardzo szczęśliwą, jako bohaterka zaplątana w dramat miłosny, który też chce gwałtem wywołać; ale rzecz się wyjaśnia odkryciem, że Mundzio żądał, nie jej serca, ale nowego mundurka, w czem chciał użyć jej pośrednictwa i protekcji do dziadka. Farsa to zatem właściwie nie dla dzieci, ale też i nie dla dorosłych, a starość, przedstawiona wobec młodzieży w karykaturze — w karykaturze wspomnień szlacheckich, bardzo przykre sprawia wrażenie. Nawet winietka na początkowej karcie niemiła: starzec siwowłosy z namiętnie ściśniętą pięścią — dla śmiechu dzieci. Farsa *Dzieciaki* nie powinna była też zgoda wejść na repertuar młodzieży, której się mówi: — Powstań przed siwą głową.

Część IV, obejmująca trzy obrazki: *Do szkół*, *Ze szkół*, *W domu*, stanowi jedną całość jakgdyby o trzech aktach, i osnuta jest na tle bardzo, bardzo szlachetnej myśli, ale nie rozwija się z takim, jak kilka poprzednich obrazków, talentem, a komizem, jakim autor pragnął rzecz zaprawić, polega na ludowym niby języku wiejskiego wyrostka, służącego we dworze. Przecież w żadnej — w żadnej stronie naszego kraju, lud takim językiem nie mówi i nie wiem czy wprowadzanie dla efektów komicznych takiej gwary sztucznej, i przedstawianie w książkach dla dzieci ludu wiejskiego, w postaci dzikich Irokezów, nie sprzecza się w gruncie rzeczy z uczciwą, szlachetną tendencją, która widnieje w książce całej? To też jest rzeczą już pewną, że w obrazku tak napisanym, żaden aktor nie potrafiłby prawdziwej, wedle naszego typu, welle naszego rodzimego komizmu, postaci ludowej odtworzyć, takiej na przykład, jaka wychodziła z gry Panczykowskiego, a była wprowadzana na scenę przez Anczycę. Anczyk lud wiejski przedstawiał bardzo realnie, ale takim, jakim jest wedle prawdy i jakim też powinien być wobec artysty.

W części IV swej książki p. Świdarski w dodatku popełnił przeciw ludowemu językowi naszemu błąd jeden bardzo ważny i czytelnika przykro rażący: wiecznie powtarzające się w ustach Łukasza karbowego: — Słucham.... Z czemkolwiek ktoś z państwa odezwie się do niego, odpowiada najpierw: — Słucham.... a dopiero mówi to, co ma do powiedzenia. Jest to przecież zwrot językowy, zgoda ludowi naszemu nieznany, obyczajom naszym nieodpowiedni, i mogą go nabierać wyjątkowo ci, z pomiędzy ludu wiejskiego, którzy długo poza wioską swoją życie pędzili i, chyba chcąc osobistości takie charakteryzować, można używać takiej formy języka. Inaczej nie należy — powtarzam to z naciskiem — nie należy takiej złej polszczyzny do literatury wprowadzać. I tu psuje też ona bardzo piękną w pomysle swoim i oryginalną postać Łukasza. Dziwnie też brzmią jego: — wielmożny dziedzic.... wielmożna dziedziczka.... Zwykle tak wieśniak z chaty swojej, jak dworski sługa mówi u nas: — wielmożny pan, lub jaśnie pan, — wielmożna pani, jaśnie pani; chyba rzadko i uroczyste przemawia: — wielmożny dziedzicu!

Po usunięciu komedji *Dzieciaki*, po wykreśleniu cudzoziemczyzny Łukasza, książka staje się bardzo dobrą. *Niespodzianka*, z ładnymi, rożnymi napisanymi i najlepszego humoru sztuczki. *Na stacyi* także obrazek bardzo dobry, choć tu jest już trochę tego zakroju, aby osoba przełożona młodzieży przedstawiała się śmiesznie; że przecież w dalszym ciągu rzeczy wychodzi ona mimo to szlachetnie; że dobrocią, łaskawością swoją wzru-

sza: więc się to naprawia i zapewne sztuczka ta stanie się popularną na scenie teatrzyków domowych. Ładny też i nawet wzruszający jest obrazek *Pożegnanie*. Dobre ilustracje Gersona zdoła książkę; *Pani i pan Sędzia, Balik*, każe się mimowoli uśmiechnąć. Wydanie jest F. Hösicka, więc, jak zawsze, książka wydrukowana została w Niemczech, w Lipsku.

W zbiorze powiastek i opowiadań p. M. I. Zaleskiej, zatytułowanym: *Snopek*, znajdują się też dwa obrazki sceniczne, z których szczególnie drugi: *Wujaszek z morza*, jest bardzo miły, bardzo pedagogicznie napisany. Cały zbiorek czyta się przyjemnie; dość też wymienić nazwisko tak dobrze znanej pisarki dla młodego wieku, aby wiedzieć, że książka jest dobrą. Nakład Maurycego Orgelbranda.

Powiesci dla Helenki przez Zofię z Rymanowa. są bardzo dobrą książką dla małych dzieci. Druk większy nieco jest też zaletą pewnego znaczenia dla czytelników, niewprawnych jeszcze w arkany tej sztuki, która dla każdego z nas przedstawiała góry mozolnej pracy. Szkoda tylko, że te wyraźne, czysto wychodzące głoski, drukowane są w Niemczech, bo nakład jest p. Hösicka.

Dla małych także dzieci wyszedł *Kalendarzyk Jachowicza*, dobra, tania książeczka będąca jedyną u nas publikacją, wydaną z myślą o tych dzieciach, którym rodzice nie mogą dawać kosztownych *Gwiazdek*. Ułożył ją też syn tego szlacheckiego i prawdziwego miłośnika dzieci i ludu, którego nazwisko poczytanej pamięci widnieje na okładce. Podobny kalendarzyk powinien pojawiać się corocznie; każdy z piszących dałby chętnie jakiś utwór pióra swego pod podniętą tej myśli, aby pożyteczna książeczka mogła pozostać w teraźniejszej cenie jednej złotówki, a ubogaciła się w treść i rozszerzyła co do objętości, która dziś jest bardzo skromną. Ktoś może też powiedzieć, że książeczka taka, jaką widzimy obecnie, nie jest na cenę swoją wcale tania, ale niemniej fakt ten istnieje, że można jakąś dobrą książeczkę dla dzieci za złotówkę dostać i powtórzyć też: daj jej Boże w roku przyszłym odżyć. Tylko niech już w roku przyszłym nie wciśnię się do niej, to, co jako *curiosum* czytać trzeba: jedyne i ciekawe w swoim rodzaju ogłoszenie: „Kochane dzieciaki!! proście waszych rodziców, aby was wzięli do znanego z taniości swojej składu towarów przy rogu ulic: Dzikiej i Nowolipki“. Dalej dokładniejszy adres i wymienienie towarów: aksumatów, welwetów. Czyż nie żyjemy w wieku przemysłu?...

Wielki średnie w obrazach to drugi tom *Historii w obrazach* wedle niemieckiego oryginału Grubego opracowanej przez p. Zuzannę Zajackowską, i której tom pierwszy: *Wielki starożytny*, wyszedł w roku zeszłym podobnie, jak tegoroczny, w *Biblioteczce Ilustrowanej dla młodzieży*, wydawanej przez F. Hösicka. Książka to bardzo dobra, bo, nie będąc historią właściwą, lecz tylko książką do czytania, wiele wiedzy historycznej i podstawowych wiadomości w tej gałęzi nauki umysłom młodym podaje. Tegoroczny tom zaleca się tem jeszcze, że wśród obrazów Słowiańszczyzny znajdujemy dzieje nasze. Język dobry, czysty, jak zawsze u panny Zajackowskiej; styl jasny i potoczny. Znajduje się wśród ilustracji do przedmiotów naszych dwanaście drzeworytów wcale dobrych. *Tartary w Polsce* jest podane wedle Szajnochy. Druk przecież zawsze — w Lipsku!...

Polowanie na wieloryby, angielskiego zajmującego pisarza dla młodego wieku: Meine-Reid'a, dobrze przełożona przez nieodżałowanej pamięci Anny, stanowi ciekawą i dobrze czytającą się książkę. W tych czasach właśnie umarł i Meine-Reid, więc oba pióra, które się na nią złożyły, już pisać nazawsze przestały.

Marya Ilnicka.

GOŚĆ NA WIGILIĄ BOŻEGO NARODZENIA.

(Dalszy ciąg.)

Stało się, co nieuniknienie stać się musiało: staroście nie mógł bezkarnie pięknego dziewczę-

cia codziennie widywać i zakochał się na śmierć i życie. Sam nie wiedział, jak do tego przyszło; z początku, gdy miłość tę poczał w sercu uczuwać, mocował się z nią: chciał zgnieść, zdusić w sobie i te pierwsze rozmarzone tęsknoty, które do ukochanego przedmiotu dziwnym gwałtem ciągnęły, łamał siłą prawie: wciąż na koniu, na polowaniu, na wilki obławy urządzał, na niedźwiedzie się wyprawiał, aż mu to matka markotnie wymawiała, że go prawie nie widzi. I on też zmięknął naraz; coraz, coraz częściej do jej pokoiów przychodził, godzinami całymi siedział, patrząc, jak z Marysią Swidówną szła w krosnach ornat, który z okazji jego powrotu w dom rodzicielski do parafialnego kościoła ofiarowała. Gdy przyszedł, siadał przy matce i nigdy nawet nie znalazł się blisko krosien p. Maryanny, jak ją wraz z całym Dworem Dziwoszyckim nazywał. Ledwo że przywitał i ona ledwo, że na powitanie odpowiedziała, zawsze rumieniąc się przytem leciuchno, ale były to czasy tak skromnego wychowania panien, zwłaszcza córek szlacheckich, że nie potrzebowało to coś szczególnego znaczyć. Podniosła przytem oczy; on ich ślicznie spojrzeniem schwytał, i już potem to się jedwabiami pani matki bawił, to czegoś, co mówiła, słuchał — lub, gdy żądała, na jej zapytanie o Warszawie, o Willanowie mówił. Ale zwykle wołał być milejącym i słuchać; czasem też wstał, podszedł kroków kilka ku krosnom, zawsze cichego jak trusia dziewczątka, stał za nią i patrzył niby na kwiaty, które igła jej dziergała. Nigdy nawet kraju jej szaty nie dotknął — ale to nic, doznawał niewysłowionej rozkoszy na jej schyloną główkę, na jej czarne, miękkie włoski popatrzeć, a dziewczęciu ręce drżały, gdy go poza sobą czuła, p. starościna zaś, widząc zainteresowanie się syna robotą, pytała potem o radę: czy złotu lub niebiesko jaki ścieg zrobić? Marysia może „różę wyszyła zielono, a listeczki różowym umalowała kolorem“, a staroście marzył potem godzinami całymi, nie wiedząc prawie o czem: widział malutkie paluszki i igłę, którą trzymały, tęskniąc do chwili, która mu znów pozwoli być tam, gdzie pani jego duszy: patrzeć z boku, czuć jej przytomność blisko siebie. Ludzie dworscy coś pomiarkowali, poczynali nawet szeptać, że staroście bardzo się boku pani matki trzema, ale ani ta matka, ani ojciec najmniejszego podejrzenia nie mieli o niebezpieczeństwie, które im groziło. Starościna nie widziała w tem nic nadzwyczajnego, że syn towarzystwa matki szuka, bo czyż go nie kochała nad wszystko, czyż nie był jej najdroższym jedynakiem? Choćby go była za skarby świata od siebie puścić nie chciała, niemniej myśl ożenienia syna chodziła jej po głowie i nieraz mówiła o tem ze starostą, gdy się sam na sam wieczorem ze sobą znaleźli. Przebiegała też myślą wszystkie na Litwie panny takie, z których-by dla jej Stasia towarzyszkę dozoną wybrać mogła, i Pisarzówna Litewska, Zofia Chreptowiczówna, najwięcej w jej oczach okazywała zalet, czyniących ją godną tego szczęścia, i gdyby jej kto był powiedział w tej chwili, że ten Staś kocha się już całem sercem, całą duszą — na zabój, w jej pannie respektowej, byłaby temu komus zakazała pokazać jej się kiedykolwiek na oczy, że coś tak szalenie zuchwałego śmiał w jej obecności wyrzec. Stanisław odgadywał, że takie być muszą uczucia matki — obojga rodziców, ale jeżeli początkowo walczył, teraz już nie się nie zastanawiał, następstw nie rozbierał: wieczorami o ukochanej dziewczynie marzył, a obudziwszy się rano tęsknił do chwili ujrzenia jej, choćby zdaleka, spotkania jej oczu z oczyma swemi choćby na jedną błyskawiczną chwilę. I gdy się tak stało, gdy Marysia jego spojrzała nań, przemówiła słóweczko jakieś, był w siódmym niebie i nieraz po takim spotkaniu jej, zwłaszcza samotnem, w jakimś przejściu, w ganku — to do ogrodu biegł, to na konia jak szalony wskakiwał i kłusował na nim, aby sobie wyrzucić z piersi zbytek tego, co mu ją rozpierało. Zdawało mu się w tych chwilach że u ramion skrzydła ma, nie husarskie już, ale anielskie, i latać na nich będzie.

Jednego dnia nie wiodło mu się; ojciec od rana samego do siebie go zabrał i konferował z nim o interesach. Z niektórych folwarków starostwa nie miał tyle intraty jak się spodziewał; młyny i towar leśny nie przynosiły tyle, ile sobie zakła-

dał, i pytał też syna: jak pod tym i owym względem jest na świecie, u panów koronnych i za granicą? Niemcy uchodzili u nas zawsze za dobrych gospodarzy; Francuzi, to naród sprytny; i ojciec, własne wspomnienia zbierając, o różnych rzeczach chciał się od syna dowiedzieć. W dalszym tego ciągu kazał do sanek konie założyć i pojechał z p. Stanisławem o milę drogi do wioski, gdzie miał tartak na Berezynie i gdzie rżnięto deski i bale, o które się właśnie borysowscy żydzi kręcili. Zabawili się długo, obiad też na miejscu u podstarościego zjedli i już dobrze po południu powrócili do domu, gdzie przecież rzadkim wypadkiem p. starościny nie zastali. Ekonomowa na przysiółku pod lasem zachorowała, a choć Marysia Swidówna była, pod dozorem starościny, uznaną lekarką dziewczoszyką, bywały jednak wypadki, w których p. Petronela miejsce jej zastępowała; a że tu choroba była tego rodzaju, a chora służyła niegdyś na dworze p. starościny, więc też już ona sama, zabrawszy się we własnej osobie i p. Petronelę do pomocy przyzwawszy, z pudłem leków i ziółek, balsamów i relikwii pojechała.

Tymczasem handlarze borysowscy czekali już w sieniach na powrót p. starosty; wziął ich też zaraz ze sobą do kancelaryi, a p. Stanisław znalazł się nagle jak na drogach rozstajnych. Trzeba mu było tylko ztąd, gdzie stał, na bok się wziąć, drzwi otworzyć, przejść sionkę, potem komnatkę jedną małą i znalazłby się w pokojach p. matki, gdzie może Marysia samotnie u krosien siedzi?

Płomienie mu na twarz biły — nie widział jej dzis wcale.

I... drzwi otworzył, sionkę przeszedł, czarno-okie dziewczę swoje, tak, jak sobie wyobrażał, zobaczył. Ujrzał ją zaraz z progu pierwszego pokoju i prawie się zawahał: szedł przecież, lecz jak żak nieśmiało, ona jednak kroki jego poznała i jakgdyby do krosien przyrosła — ruszyć się nie mogła.

Jakże-by się ruszyć miała? Czy dla tego, aby ujęć przed przychodzącym? Toż to przecież był p. staroście!...

Może nawet nie miała czasu, ani przytomności, tego wszystkiego pomyśleć. Siedziała — igłę w materię kładła i wyciągała, a on też przy krosnach stanął. Choć wiedział, gdzie jest matka, pytać zaczął; Marysia odpowiadała cichutko, głowy nie podnosząc; wydawała ją to z sekretu, ale nie myślała o tem. — Teraz już stanowczo nie myślała o niczem, szumiało jej w uszach, serce biło jak młotem.

On stał. Mówić przestał, przecież stał, aż naraz, nagle, do nóg jej się osunął. — Panno Maryanno! — zawołał, kolana jej pokornie, jak sługa pani swojej obejmując — p. Maryanno...

— Ach, Boże! Boże! — zaszepiała.

— Panno Maryanno! ja kocham już oddawna, oddawna... Od pierwszej chwili ujrzenia, od tej chwili, gdy się z Nią opłatkami podzielił. Serce to moje przełamałem i dałem jego połowę... ale nie: całe, całe serce w moc Jej oddałem.

Dziewczynie łzy, jak perły wielkie po ślicznem licu płynęły. — Boże, Boże — powtarzała, zmiłowania niebieskiego nad sobą wzywając, ręk przecież nie załamała, bo nie mogła. P. staroście obie już teraz ujął i razem złączone w jednym gorącym swych rąk uścisku trzymał. Czy nie na to skarżyła się ona biedna przed Bogiem, że ten żar, który w nim był, w nią przelewał?

— Panno Maryanno, czyś słyszała? Ja kocham bardzo, ja żyć bez Niej nie mogę...

Łkanie głośnie wyrwało się z piersi dziewczęcia, a on ze zwykłą trwogą, ze zwykłą niepewnością ludzi zakochanych, przeraził się.

— Czy mnie nie chcesz, gardzisz mną, odpychasz? — zawołał. — Marysiu!.. ach! czy nie kochasz wzajem, czy nie cierpisz...

— Ja nie mogę niecierpieć p. Starościca... ja biedna, uboga dziewczyna... o Boże!

On jej ręce coraz silniej, prawie do bólu ścisnął.

— Co to znaczy żeś uboga! — wykrzyknął. — Ja bogactw nie żądam, o majątek twój nie pytam, tylko ciebie, ciebie jednej chcę, nie więcej.

Roznamiętniał się, niemniej słowa dziewczyny oprzytomniały go. Położenie jej i jego stanęło mu przed oczyma i zrozumiał słowa jej odpowiedzi

ale w tej chwili żadne względy nie ważyły już nie dla niego, Rodzice... sam król... co to znaczy? Nikt ich nie rozdzieli, jeżeli tylko ona jest mu wzajemna!

— Czy mnie kochasz choć trochę, choć odrobinę? zaczął znowu. Klęczał jak przed królową, tak tliwie, tak słodko w nią patrzył, ręce jej tak ciśnął, odpowiedzi prosił.

Nie odpowiedziała, ale nagle on już odpowiedzi nie potrzebował. Gdy jej mówił: — Czy nie kochasz choć troszkę? — ona spojrzała i on ją porwał sobie w objęcia.

W tym samym momencie zaturlotało na dziedzińcu, okna pokoju na ten dziedziniec właśnie wychodziły: on więc turkot usłyszał wyraźnie i wiedział, kto to przybywa, przecież się nie przestraszył, nie odskoczył od niej w tył. Przeciwnie, podniósł ją niejako z krzesła, opasał silnie ramieniem, kibić giętką, usta z ustami jej złączył i dopiero, puszczając ją wtedy, rzekł: — Mojaś ty już jest, moja nazawsze — aż do śmierci... Tak mi, Boże, dopomóż, jak przysięgam ci to w uczciwości i miłości niezmienniej — moja jesteś...

Jednak dnia tego nie z postanowienia swego nie wyjął nikomu, ale nazajutrz rano poszedł do ojca zaraz, skoro tylko usłyszał go w kancelaryi, gdzie p. Starosta poranne chwile zwykł pędzić, gdy z sypialnego pokoju wyszedł, ostrożnie stąpając, aby starościny nie zbudzić, bo bywało to zawsze przededniem, tak rano, że ledwo na pacierz działo zadzwonił. Najpierw jednak do pobocznej izby szedł, gdzie rycerskim obyczajem mył się wodą z lodem; choćby mroź był trzaskający, zlewał nią sobie barki i głowę, które potem ostrym ręcznikiem wycierał i kładł przez pokojowca podany ubiór ciepły, bekieszki lisami podbitą i szedł do komnaty, którą dziś zwanoby gabinetem, a która wtedy zwąza się kancelaryą, gdzie suty ogień na kominie się palił i gdzie zwykle znajdował czekających na niego: podstarościego z jakim raportem, i włodarzy, którzy przychodzili po klucze od gumien, u pana starosty na noc zostające. Gdy się z tem załatwił, przeglądał papiery, to gospodarskie, to dotyczące się jego urzędu starosty, listy pisał i dopiero po dobrej godzinie takiej roboty od biurka wstawał, po pokoju chodząc pacierz po łacinie półgłosem mówił, wreszcie pił śniadanie: piwną lub winną polewkę jajami zaprawioną, którą mu pokojowiec na srebrnej tacy, ze srebrną czaszą i kubkiem przynosił. Wstając z łóżka, mówił zaraz: *Fod Twoja Obrona*, lecz na pacierz dłuższy przychodziła koleja, gdy się już z najpilniejszą robotą załatwił i choć mu kilka razy ksiądz proboszcz chciał z tego skrupułu czynić, nie odstąpił od zwyczaju, odpowiadając, że do Pana Boga już pobożnie wstąpił, ale za świeżej myśli trzeba mu zabawić się piórem i to nietylko jako gospodarza, ale i urzędnika publicznego, czem też Boga nie obraża, ale chwali. — Bóg ma odemnie cześć swoją, najpierwszą, ale musi mieć i świat — odpowiadał i było to właśnie w tej chwili, skoro ową boską część już oddał: — łaciński swój pacierz dokończył, gdy drzwi lekko się uchyliły i on z podziwem syna w nich ujrzał. Do śniadania, które już na stole stało, poprosił go też ze sobą, ale p. Stanisław podziękował ojca w ręce całując, lecz choć sam nie w usta nie wziął, poczekał aż starosta swój kubek polewki wypije, bułeczką z masłem przegryzie i dopiero mówić zaczął. Odrazu do rzeczy przystąpił, odrazu przyznał, że p. Swidównę gorącym sercem pokochał i żenić się z nią chce, a gdy ojciec, który z podziwienia słów znaleźć nie mógł i dopiero dał mu się wygadać, w końcu, z opozycją rodzicielską występując surowo rzekł: — Nie pozwalałam Waszmości na małżeństwo takie... on odparł, że to nie może już być, bo się słowem związał.

Piorun to był, co z czystego nieba w plany i nadzieje rodzicielskie uderzył. Starosta, choć rzecz dotkliwie uczuł, umiał się więcej mitygować, niż żona. Kobieta była nietylko bardzo dumna, ale i bardzo żywa, nawet co do tej żywości, musiał ją mąż w pierwszych latach małżeństwa miarkować. Zmartwienia ciężkie, boleśnię pięciokrotnie rozdarł tego serca matki, dokonała tego lepiej, niż on; niemniej w tej chwili dawny ogień zpod popiołu wybuchnął. Starosta przewidywał, że tak będzie

i wybrał też na odkrycie to niespodziewane chwile taką, aby mógł, oile się da, wpłynąć na żonę i nie dopuścić zbytniego pofolgowania uniesieniu. Dopiero też wieczorem samym, gdy do sypialni swej przeszła, powiedział jej, co mu syn rano oświadczył. Usłyszawszy nowinę, zawołała najpierw tak, jak poprzednio ojciec: — Nie pozwolę... ale gdy mąż wystawił jej siłę uczuć rozkochanego i stałe postanowienie małżeństwa, zaczęła dopiero wybuchać gniewem, nie na syna przecież, ale na żmiję, którą u łona swego ogrzała. Starosta tylko wstrzymał, że nie biegła zaraz do biednej dziewczyny, która teraz może właśnie i razem słodkie i gorzkie lejać, klęczała przed obrazem Matki Boskiej. Perswazyje, prośby męża powstrzymały uniesioną kobietę; prosił, zaklinał nawet, aby zostawiła sobie czas do namysłu, nim działać zacznie, bo mężczyzna rozumiał lepiej uczucie mężczyzny, gdy widzi przedmiot ukochania swego poniewieranym, i starościna wzięła uwagi do serca. Kochała syna miłością najwyższą, i to działało; mąż tłumaczył też że jej panna, respektowa jest rzadkiej urody, że rozkochawszy się w niej raz, można się za nią w ogień rzucić, można się dla niej topić. A jak Stanisław jakiego szaleństwa się dopuścił? Odesłać dziewczynę ojcu było rzeczą niebezpieczną, bo ją namiętnie rozkochany mógł ztamtąd porwać i ślub zaraz wziąć, a wywieźć, do klasztoru zamknąć, to — prócz tego, że bezprawie i sprawa gardłowa — jeszcze gorzej. Niejeden stał się z miłości *mente captus*... staroście może na konń sięść i w świat pojechać, a gdyby tam marnie zginął, to co?

Matka truchlała. Zalała ręce i zalała się łzami; przecież w uporze swym zaciętsza była od ojca. Syn przy rozmowie i tej, którą z nim nazajutrz miała, i niejednej następnej, uspakajał ją, że się żadnego gwałtu nie dopuści, ale przy tem mocno stał, że Marysia Swidówna musi mu być towarzyszką dożgoną, lub żadną inną. Matka, bojąc się według przestrogi męża, aby syn serca do niej nie stracił, przysięgała mu, że dziewczynie żadnego przykrego słowa nie powie ani nawet, tak jak i p. starosta, da poznać, że wie cośkolwiek o tem, co między niemi zaszło, aż do chwili, gdy on, jak go błagała, rozmyśli się stanowczo. — Ach Stasiu mój! czyż to być może, czego chcesz? — rzekła, wznosząc na niego wzrok proszący, ale on jej przerwał i do uwag nad niestosownością związku dojsć nie dał — Dałem słowo, a wreszcie kocham jak żadnej kobiety, już kochać nie będę — mówił i usta matki musiały się zamknąć.

Rozpacz ją ogarnęła. Nie mogła na sobie wymódz, aby z założonemi rękami nieszczęścia czekać i mimo obietnicy, synowi uczynionej, postanowiła działać na p. Swidównę. Obieca jej posag wieś, wyswata ją, i da jeszcze wyprawę, jakaby własnej córce dała, byle tylko p. Stanisława się rzekła. Przy tych obietnicach zagrozi z drugiej strony niepozwoleniem, niebłogosławieństwem, wstydem publicznego skandalu, i dziewczyna, miękka z natury, ustraszony może.

A nie było po biednej nic znać co myśli, co czuje? Błada tylko, biała była, jak opłatek, i jeszcze cichsza, niż zawsze, przełknięta się jakby zdawała, miała wzrok żalony, jak sarenka w kniei obsaczony. Oczy podkładały się obwódka ciemną i piękniła przez to na piękność prawie że cudowną, jak z obrazka; ale p. Stanisławowi szarpało się serce i ledwo mógł wytrzymać, aby wyznaczonego mu przez rodziców czasu na namysł doczekać zdołał. Starosta też, widokiem zmienionego dziewczęcia czuł się w serce dotknięty, żal go brał i jej i syna, miękł codziennie, myślał, że Swidowie przecież szlachta dobra, stara, tylko że rozrodziła się i siedząc wciąż na roli, honorów i urzędów ambitnie się nie dobijając, podupadła. Że też na Marysię uważniej teraz patrzył, coraz-to więcej synowi jego rozkochanie się wyrozumiewał i do żony począł się z tem odzywać, aż ją to przycisnęło do muru.

Dała na mszę; z p. Swidówną jej wysłuchała, a po powrocie z kościoła zamknęła się z nią samą w komnacie swojej. — Ach! nieszczęśliwy to dzień, kiedyśmy sobie na drodze stanęły — zawołała i zaklęła dziewczynę na rany Chrystusowe, aby była szczerą i prawdą, jak na spowiedzi, jej

wyznała. — Dlaczegoś ty na mego syna, który jest jedynakiem, całym szczęściem mojem i ojca, urok ten cisnęła? — mówiła, ręce łamiąc. — Ubogą jesteś i majątku chcesz? — dobrze. Dam ci najpiękniejszą, największą wieś z mego dolhańskiego klucza, wybierz, którą chcesz. Może tę, którą pan Zygmunt Hryniewicz trzyma? Dam i tę. Dam i zrobię to, że p. Zygmunt o rękę twą pojedzie się ojcu oświadczyć. Kawaler stateczny, a jednak w całym powiecie słynie z tego, że piękny i wesół. Ale może wolisz innego? Może ci jednej wsi mało? Dam dwie... trzy. Zapisz zrobi zaraz regent borysowski. Dam go ci za rękę, na św. Jura do majątku wpuszczę.

Mówiła impetycznie, nie widząc, co się z dziewczyną dzieje. Ta bladła, oczy czarne z ciężką skargą w mowiącą się wpatrywały, aż naraz, przy słowach ostatnich, wystrzelił z nich, wraz z nowym łez potokiem, płomień gorący. — Ja nie chcę — łkała — nie... Niech mnie tylko ztąd copędzej do ojcowskiego domu pod słomianą strzechę odwieżą. Panu starościeci nie chcę szczęścia zagradzać... pójdę ztąd choć pieszo, i nie nie wezmę...

Starościna zlekła się tych słów, tej determinacji cichego zawsze dziewczęcia; co ją przytem w sercu zabolalo, jakgdyby krzywdę komuś wyrządziła. Zaczęła się prawie tłumaczyć. Ona majątek ma i może z niego coś udzielić... takie rzeczy już się działy... ale Marysia, jak przemieniona, mówić jej nie dała. Chciała tylko do ojca, do Krasnego. Chciała zaraz, natychmiast.

Starościne znowu zaczął gniew zejmować.

— A! — wykrzyknęła — to dlatego, aby mnie syn zniecierlił. — Ale co ty w tem masz? Skoro majątku brać nie chcesz, to czego ci trzeba?

Marysia nie odpowiedziała: — Jego serca, jego miłości; jego, jego tylko, choćby o chlebie i wodzie — ale jęła cicho; zasłoniła rękami oczy i zapłakała.

— Czy on ci taki miły? — zawołała naraz starościna. Serce jej biło, drżało. — Czy on ci taki miły? — powtórzyła, a głos już był miękki.

Teraz Marysia padła jej do nóg. Była zakłętą na Rany Pańskie, aby mówiła prawdę i wyznała ją. Kochała starościna nad wszystko na świecie... Królewskiego syna nie przeniosłaby nad niego. Ach! nikogo! nikogo! Ale nie... ona nie stanie mu się nieszczęściem: rodzicielskiego błogosławieństwa i łaski Boskiej mu nie odbierze. Całowała ręce starościny, aby ją odesłała zaraz do domu. Plakała, aż serce pękało patrząc, ale prosiła.

W staroście stało się nagle coś, czego sama nie byłaby podejrzała w sobie. Kochała syna tak, że ta kochająca go również dziewczyna, stała jej się naraz drogą, jak córka rodzona. Duma ustąpiła — jej syn jedyny, będzie jej wdzięczny do śmierci, za szczęście, które mu da... będzie ją do śmierci kochał. Wyciągnęła ręce do Marysi i gdy staroście, wezwany wkrótce do matki, ujrzał ukochaną, utuloną jak gołąb' u jej łona, padł jej do nóg. Nie wiedział czyje ręce całować i tracił głowę z radości. Ślub nastąpił wkrótce po Wielkiej Nocy; panna młoda dostała od świekry wyprawę paradniejszą może, niżby ją była miała Chreptowiczówna i przy intercyzie zapisała jej klucz Dolhański, na dożywocie. Starościna obiecała to przecież p. Swidównie, że jeżeli pójdzie za mąż tak, jak ona ją wyswata, nie stanie przed mężem z próżnemi rękami.

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań w Listopadzie 1883 r.

Echa, jakie od lat kilku stale otrzymujecie za mojem pośrednictwem ze starej Przemysławowej stolicy, przekonać was mogły dowodnie jak dalece uspięne u nas życie towarzyskie potrzebuje podniety, aby się, choćby przelotnie, rozbudzić. Gdy to jednak nastąpi, zamarte miasto szaleje życiem, kipi warem długo stłumionego ruchu, wybucha

spotęgowaniem uczuć i zapalów, przechodząc w tem niekiedy miarę i pożądaną równowagę. Ciekawy, zaiste, przyczynek do historii wewnętrznej naszego społeczeństwa i stolicy możnaby złożyć z opisów dorocznie wracających festynów i holdów, składanych na coraz-to innym ołtarzu, u stóp innego bohatera lub bóstwa. Iskra elektryczna, przebiegająca skupione na chwilę w Poznaniu towarzystwo zawsze z dalekich ognisk wypada—zapowiedzią przybycia jakiegoś znakomitego gościa. To wymowa profesorów krakowskich ściga tłumy słuchaczy, to Deotyma pieśnią serdeczną zwabia, to Modrzejowska czaruje urokiem swego talentu, to jasna jaka gwiazda muzycznego świata błyska na widnokręgu. Tym razem, przedmiotem ogólnych holdów i wdzięcznych uniesień była panna Reszke, a społeczność nasza, porwana czałem jej głosu, mnożyła objawy serdecznego uznania, za hojność wielkiej artystki, przybywającej do nas, aby kilku koncertami zwiększyć szczupłe fundusze Teatru Poznańskiego.

Wspaniałomyślność ofiarna, niegdyś królów i panujących przywilej i cecha, dziś przeważnie artystów jest znamię. Któż dziś spośród możnych tego świata zdobyć się potrafi na królewskie dary Jana Matejki, na książęce datki Modrzejowskiej lub Reszkówny? Wśród upadku wszystkich niemal arystokracji, arystokracja talentu i geniuszu umie się wyróżniać dobroczynną, a nie liczącą się i nieznającą granic ofiarnością.

Przez cztery dni z kolei panna Reszke śpiewała na naszej scenie, zachwycając publiczność głosem i metodą, o słusznym przyznaniu jej zdobytej europejskiej sławy. Przypuszczamy jednak, że ogólny zapal płynął raczej z serc wdzięcznych za jej uczynność i hojność, aniżeli z dusz tkniętych zaklęciem muzyki: W. Ks. Poznańskie bowiem pod względem muzykalności może być nazwane Beocyą Polską. I u ludu mniej śpiewności i w wyższych klasach mniej rozwinięty tu, niż gdzieindziej, zmysł harmonii. W kościołach usiłowania, aby dojść do poważniejszej muzyki, dotąd opornie idą; w miasteczkach nawet przykład niemieckich *Vereindów* nie rozwinął zamiłowania muzyki. W salonach dział artystyczno-melodyjny ogranicza się na popisowej grze wstępujących w świat panienek, które przez lat kilka tesame stereotypowe powtarzają kawałki, np. *Romanse* Rubinsteinów, niby nakreślone pozytywy, aby po zamażniętym *wyśrubowanym* sztucznie talent niepowrotnie zaniedbać. Ale i ta konwencyonalna muzyka wieczorków towarzyskich uważana tu bywa, nie jako artystyczna przyjemność, zniewalająca do chwytania uchem wśród ciszy miłych sercu dźwięków, ale raczej jako środek niezawodny do ożywienia upadającej rozmowy. Pierwsze akkordy od razu budzą sennie zgrumowanie i coraz głośniejsza słów zamiana towarzyszy buczniejszym melodyom. Mimo jednak tego ogólnego nastroju, a raczej rozstroju, pod względem muzykalności naszej dzielnicy, entuzjazm wzbudzony przez pannę Reszkę mógł omylić i dać złudzenie, iż publiczność poznańska skłania się wyłącznie z samych dyletantów sztuki. Nie było końca oklaskom, a istne lawiny kwiatów zasypywały co wieczór szlachetną artystkę.

Smutną stroną owych dni świeżo minionych, które dla Poznania wytworzyły niejako karnawałowy tydzień przed adwentem, stanowił zbytek i rozrzutność, te plagi naszej społeczności, przez jakiś czas szczęśliwie przytłumiane, ale występujące obecnie, niestety, z nową grozą. Skandaliczny pod tym względem ostatni karnawał najgorsze zostawił przykłady, zerwał z tradycjami skromnych zabaw i strojów, aby dać nowy pochoch kosztownym zachciankom i hulankom. A tymczasem stosunki nasze wciąż nawołują do obowiązku pracy i oszczędności, do stawiania tamy zalewowi germanizmu. Wszakże obcy żywioł posiada już większą połowę ziemi w naszej dzielnicy! Obliczono, iż dla wykupienia tych obszarów z rąk cudzoziemskich, potrzebaby sześćdziesięciu milionów talarów! Chwilowo systematyczne wywłaszczanie odwiecznych tych siedzib panów ustało, owszem, niejedną majątek w polskie przeszedł lub wrócił ręce; wystarczy jednak kilka bucznych karnawałów, aby nowe zwiastować ruiny i straty. Podniesiono świeżo w prassie naszej zasługi

niektórych rodzin, zdobywających cichą pracą i zacnem usiłowaniami coraz-to szersze zagony ziemi ojczystej. Prym w tej mierze trzyma dom hr. Żółtowskich. Rosną w oczach dzierżone przez nich warownie ziemiańskie, twierdze dawnego obyczaju i ducha. Powiem tu, iż w krótkim przeciągu czasu ocalili oni dwadzieścia tysięcy móg zagrożonych przejściem w obce ręce, a nabytki przez nich poczynione, tem są szczęśliwsze, iż ziemia ojczysta znajduje w nich najwierniejszych i najpilniejszych stróżów.

Teatr nasz poznański, tak hojnie wsparty przez pannę Reszkównę, w nowy a pomyślny wstąpił okres istnienia, pod umiejętnym i doświadczonym kierownictwem p. Rychtera. Znakomity ten artysta zmniejszył rozdrobnione siły grona aktorów, ale w ścieśnionym zastępie umiał wydoskonalic pojedyncze zdolności, tak, iż scena nasza wcale zadawalniając obecnie się przedstawia. Zaniechano też płaskich operetek, porzucono farsy francuzkie, aby przeważnie rodzime przedstawić utwory. Autorowie dramatyczni pośpieszyli z nową ofiarą, ustępując poznańskiej scenie prawo przedstawienia dzieł swoich, bez żadnego zastrzeżenia ani opłaty. Sypią się więc, jak z rogu obfitości, sztuki Fredry, Bałuckiego, Blizińskiego, Lubowskiego i innych, a nowy dyrektor dokłada wszelkich starań, aby zawsze jaknajlepiej oddać myśl autora. W uznaniu trudów Rychtera święcono przed kilkoma dniami czterdziesto-pięcio-letni jubileusz jego dramatycznego zawodu. Obrano na tę uroczystość przedstawienie *Zemsta za mur graniczny*, ów utwór klasyczny, w którym Rychter znalazł swą najlepszą rolę. Panna Reszke uprzejmie raczyła uświetnić ten obchód swą obecnością i odśpiewaniem kilku pieśni, a publiczność z zapalem witała jubilata, składając mu życzenia i podziękowania, za starania i trudy położone około naszej sceny.

Pisałem wam nieraz, iż troska u utrzymanie teatru skierowała główny prąd ofiar i składek w jedną wyłącznie stronę, z uszczerbkiem dla potrzeb ubóstwa lub miłosiernych miasta naszego instytucji. Szczęściem, poświęcenie i energia kilku osób dobrej woli, stara się wynagrodzić płynącą ztąd krzywdę, mnożąc umiejętne środki dobroczynnej działalności. Nad jałmużną rzuconą ubogiemu stawie zawsze trzeba daną mu sposobność do uczciwego zarobku. Jałmużna poniża pracę uszlachetnia i podnosi. Ale trudno nieraz ją znaleźć, trudno zająć ochotne lecz słabe ręce. Zarobek niewieści jest jedną z tych zagadek ekonomicznych nad rozwiązaniem których najgłębszłi umysły łamią sobie głowę. Otóż, patrząc na napływ rodzin ubogich do Poznania, zawieszonych w nadziei znalezienia odpowiednich środków utrzymania, zawiązało się tu świeżo stowarzyszenie mające na celu „Opiekę nad zarobkiem kobiecym”. Komitet zarządzający postanowił jednocześnie w dwóch kierunkach swą działalność wywierać: z jednej strony dawać biednym kobietom sposobność zarabkowania przez szycie na zapas rzeczy, których nie ma zwykle gotowych po składach, a z drugiej strony ocalić lud przed wyzyskiwaniem niedoświadczenia i otworzyć składzik własny gdzieby włóścianie po rzetelnych i przystępnych cenach dostawali przedmioty gdzieindziej przeplatane. Rozdawane pomiędzy ubogich roboty odnoszą się przeważnie do odzieży ludu, bielizny dla wyrobników: a więc ubiory dla dzieci, fartuchy lub spódnice ciepłe, worki, kołdry i t. d. Za staraniem i inicjatywą kilku miłosiernych osób, a zwłaszcza pod czynną opieką pań: Maryi Wilczyńskiej i Maryi Potworskiej, hojne pospyły się składki, jęły się mnożyć obstalunki robót, powstał osobny skład, już dziś spopularyzowany wśród włóścian, gromadnie nawiedzających progi, tak odpowiadającej ich potrzebom, instytucji. Bywały już dnie świetne w krótkotrwałym istnieniu towarzystwa opieki nad zarobkiem kobiecym; czasem jedna wieść do starczyła licznych klientów, którzy w przeciągu kilku godzin za kilkaset marek nabytków czynili. poparcie zaś duchowieństwa i zachęta udzielana przez plebanów parafianom, aby ich zniewolić do korzystania z tak stosownych dla nich warunków, wiele się przyczyniają do rozwoju nowego zakładu. Gdy się tak patrzy na szlachetne zachody

tytu sere poświęconych, tylu delikatnych a poświęconych dłoni, nieraz na myśl przychodzi, iż kroknikę działalności kobiecej w piśmie waszem wypełnić-by można ogłosem tego, co nasze panie w Poznaniu dziś własnym trudem, osobistym spełniają poświęceniem.

Wspomniałem już o kierowniczkach wyższmiątkowanej instytucji; nie brak ich na czele ochronek, domowe ćwiczenia zastępują zwinie skutki obecnych stosunków zakłady naukowe. Na czele stowarzyszenia dostarczającego aparatów kościelnych stoją panny Skórzewskie. Pani profesorowa Motty od lat wielu jest osi i sprężyną całej miłosiernej w mieście naszym działalności. Towarzystwo Sw. Wincentego straciło w ostatnich latach długoletnią swe i zasłużone przewodniczkę; za hr. Izabelą z Brzostowskich Mycielską pośpieszyła niebawem jałmużnica miasta naszego, hr. Tytusowa Działyńska. Wierząc w spadkobierstwo miłosiernych uczuć obrano w następstwie owych dwóch opiekunich Poznań Aniołów najstarszą córkę hr. Działyńskiej, księżnę Elżbietę Czartoryską. Imię to nie poraz pierwszy błyska w rocznikach miłosierdzia, i nieraz już litościwym promieniem ogarnęło ciemne nędzy przytułki.

Rok nieurodzajny ciężką zapowiada zimę, a brak ziemniaków bodaj irlandzką gotuje nam biedę, ziemniaki bowiem stanowią główną podstawę wyżywienia klas uboższych. Prąd emigracyjny i gotów się wzmóc nanowo, tembardziej że zaostrzone stosunki kościelne i szkolne zniechęcają włóścian i negą ich obrazem większej w Ameryce swobody. Przeszło 173 parafii osieroconych nie posiada już duchownej posługi, zaczęły podstępnie obcych agentów i podżegaczy, nie neutralizowane zdrowym wpływem i słowem czujnych pasterzy, zbyt gotowy u prostaczków posłuch znajdują. Świeżo rzewna manifestacja synowskiego przywiązania zaniosła do stóp Kardynała Ledóchowskiego wyraz wierności jego owieczek. Urodzony w r. 1822, dostojny Książę Kościoła skończył w dniu 29 Października lat sześćdziesiąt jeden. Posypały się zewsząd listy, telegramy, adreasy, podpisami pokryte, słowem: taki wybuch miłości, że, wzruszony serdecznością tych objawów, kardynał w pięknym liście zapewnił swe owieczki, iż opuszczać ich nie myśli, i zalecił, aby nie wierzono mylnym doniesieniom dzienników, ustawicznie niepokojących, wieścią o jego rzekomem ustąpieniu ze stolicy Św. Wojciecha.

Na niwie literackiej głucha zaległa cisza; chyba gwiazdkowe wydawnictwa dostarczą nam plonu nowych publikacji. Zato w Towarzystwie Przyjaciół Nauk zawsze jednako panuje życie, mnożą się odczyty, porządkują zbiory, sypią ofiary. Zpośród odczytów ostatnich może najciekawszym był wygłoszony przez samegoż konserwatora, p. Klemensa Kanteckiego, ustęp z historii miasta Poznania w r. 1736—1740, odnoszący się do wypadku mającego wiele podobieństwa z głośną sprawą w Tisza-Ecslar. Wykradzenie dziecka, odnalezienie pokaleczonego trupa, posądzenie żydów o dokonanie zbrodni w rytualistycznych celach; oto co dało powód do czteroletniego procesu i śledztwa, którego akta p. Kantecki odnalazł i wyzyskał. Ciekawy to przyczynek do historii sądownictwa w Polsce. Wyższy trybunał uderza bezstronnością i oględnością wyroków; zato magistrat poznański w tak już blizkich w. XIX-go czasach dopuszcza się barbarzyńskiego okrucieństwa, nadużywa tortur i bez poczucia sprawiedliwości prowadzi zagmatwaną sprawę. Ślady przekupstwa i umyślnego wklepania procesu widoczne. Występuje na tem meciem tle wyraźny antagonizm miasta i szlachty. Magistrat i mieszczaństwo zawzięte na żydów, szlachta bierze ich w obronę. Znakomity owych czasów historyk i znawca, p. Jarochoński, dowodzi, iż pochodziło to ztąd, iż szlachta miała w żydach poznańskich swych bankierów, u których składała kapitały po 7½ od sta, co potwierdzają akta miejscowego kahału. Niebezpieczeństwo grożące żydom dotyczyło zatem i owych depozytorów. Koniec końcem, sprawa wzięła taki sam obrót jak w Tisza-Ecslar. Ciekawy jej przebieg ujawnił wiele podobnych procesów z epok dawniejszych. Już w wieku XIII i XIV, znajdują

to się wyroki Książąt Wielkopolskich zabraniające przypisywania żydom morderstw rytualistycznych i wznawiania podobnych insynuacji, które snadź już wówczas nurtowały w społeczności chrześcijańskiej.

DWA KŁAMSTWA WIEKU.

Parę miesięcy temu ukazała się w trzecim już wydaniu książka niemiecka, złożona z rozpraw, ogarniających prawie cały obszar życia dzisiejszych społeczeństw¹⁾. Zamało mówimy: „ogarniających”: rozprawy te rozcinają, jeden po drugim, wszystkie stosunki przez zwyczaj między ludźmi ustalone i odsłaniają fałsz w nich ukryty, uświęcony przez wieki, z pokolenia w pokolenie przekazywany. Ideą, to jest myślą i uczuciem przewodniem, tej krytyki ostrej, niedobierającej słów, częstokroć cynicznej, jest oparcie życia zbiorowego na wyłącznej podstawie praw natury i solidarności między ludźmi: możnaby więc pierwszą zasadę twórczą książki nazwać *naturalizmem altruistycznym*. Rzecz nie nowa na Zachodzie; ale u nas, przy wielkiem ubóstwie myśli, przy wstępie do myślenia o czemkolwiek, a tembardziej o ogólnych formach i warunkach bytu, przy niezmiernie słabem wytwórstwie *pojęć* powszechniejszych, oderwanych od bezpośrednich zjawisk życia, jednym słowem: przy niefilozoficzności naszej, tak biernej jak i czynnej, wszelka książka pobudzająca nas do myślenia, o tem, co stanowi własność każdego: o życiu i uspołecznieniu dzisiejszej ludzkości, jest już taką nowością, że gdy się zjawia, gdy do wiadomości dojdzie, warto się nią zająć i poznać ją, choćby tylko przez ciekawość: jak też tam inne mózgi świat w sobie odbijają? — skoro go nie można odbić w swoim własnym....

Zanim wejdziemy *in medias res*, czytelnik pozwoli nam na małe zboczenie od właściwego przedmiotu.

Starą, jak świat, jest prawda, że ludzie będą zawsze ludźmi; ale czy zawsze tymisamymi ludźmi? Czy nie jest przesadą mniemanie, że się nie w ludziach, w człowieku gromadnym, nie zmienia, i że daremnie-bysmy świat wyrozumiewać chcieli, bo, chociażby się go na najdoskonalej zrozumiało, nie popchnie się go na inną torę? Prawda, świat, a o ludzkim tu mówimy świecie, nie będzie nigdy zadawalniać tych, których drogi w tem życiu szły ponad bagnistemi nizinami; wiele serc szlachetnych, wiele wyższych umysłów, opuszczać go będzie ze świadomości jego nędzy, z uczuciem żalu i tęsknoty, z goryczą, bólem i skargą na byt, na naturę ludzką, a może i na tę siłę najwyższą, która wszystko w ruchu i całości utrzymuje. Pessimizm w pewnych granicach, pessimizm niepodający gwałtem noża do samobójstwa, jest koniecznością niespaconego rozumu i niezepsutego serca, jest cechą wyższości ducha — odwrotną tylko stroną idealizmu, odepchniętego od rzeczywistości, umęczonego przez doświadczenie, skazanego na wiecznej nienasycone pragnienia i tęsknoty. Ale, chociażby koniecznością była nawet śmierć z rozpacz nad światem — czyżby to uwalniało istoty rozumne od obowiązku myślenia o nim? Zkąd wziąć siłę do skrepowania rozumu, jego działalności, potrzebą? Prawo rozumu właśnie jest najistotniej niezbywalnem, najtrwalszem prawem człowieka; zbyć się nie da bez samego człowieczeństwa, którego rozum jest koroną. Można się wszystkiego wyprzeć, tylko nie myśli, wszystko w sobie powściągnąć, tylko nie ruch myśli, raz poczęty. Prawdziwem samobójstwem, *życiem w śmierci*, jak pięknie wyraził Krasinski, jest życie bez myśli, niemyślenie, dobrowolne wyrzeczenie się tego, co właśnie istotę człowieczeństwa stanowi. Myśl, to sam człowiek. Całe życie nasze, cały byt nasz tuteczny i nieśmiertelność nasza: to tylko myśli nasze. I nie popiół, nie proch po nas zostaje, ale myśl. Dzięki spadkobierstwu myśli, umarli żyją

w żywych. Cała ludzkość jest tylko jedną myślą ogromną, wieloną w naturę — a na ten ogrom składały się tysiące lat i dusz miliony.

Zatem nie szemrać i nie sarkać, ale myśleć, i nie lękać się myśli i nie uciekać od rozumu, bo jest to zawsze najlepszy we wszystkim przyjaciel, pomocnik i przewodnik i jeżeli co, to rozum na tej ziemi kochać potrzeba. Nie dość jest żyć: trzeba myśleć o życiu; nie dość być na świecie: trzeba go wyrozumiewać. — „Nic nie zmienię, niczego nie dodam....” Może! ale posłucham prawa istoty mojej. Rozum mój na to jest w świecie, aby świat wyrozumiewał. To prawo, to ja sam; nie można go zniszczyć bezemnie. Gdzie jest byt, tam i wzbijający się nad poziomy jego rozum być musi; gdzie jest życie, tam powinna być i życia krytyka. Życie jest tem więcej warte, im mniej w nim egoizmu, bezmyślności i panowania zmysłów; tylko działalność umysłowa utrzymuje je na wysokości godnej człowieczeństwa, o wartości zaś życia umysłowego wyrokuję stopień panującej w niem filozoficzności: im więcej wyrozumiewania, tem lepiej się żyje. Bez tej filozofii moralnej czy etyki, która stosuje ideały rozumu do form rzeczywistego życia, do obyczajów i instytucji, obywać się mogą żaby w bagnisku, hipopotamy w mule, dzięki zwierzęta szukające żeru, — ale nie ludzie. Niekoniecznie zaraz w książki tę filozofią spisywać potrzeba, ale w umysłach ją piastować, — to już obowiązek nieodwrócony. Filozofia taka jest arytmetyką, próbą arytmetyczną, naszej wartości moralnej — mówi nam: oile jesteście ludźmi. Słyszcie już głosy: „Ale co z tej arytmetyki przyjdzie komu? Kręcimy się ciągle w kole zakłętym. Prawdziwie dzieci ojców naszych, powtarzamy ich błędy, aby je swoim znowu dzieciom przekazać — i tak ciągle, ciągle, bez końca — na wieki! Marnemi tylko prochami jesteśmy, które wicher konieczności pe przestworze rozrzuca. Niema żadnych praw moralnych, ani moralnego postępu. Natura w nas żyje, nie my żyjemy, a natura poprawić się nie da. Wszystko będzie, jak było.”

„Będzie, jak było! — czy istotnie tak, a nie inaczej? Czy naprawdę niema w niczem postępu, nie się na lepsze nie zmienia, nie nie doskonali.”

Zaprawdę, cierpiącym i nieszczęśliwym trudno uwierzyć w coś, coby męczarnią i niedolą nie było; przyktemu do miejsca ciężko pomyśleć, że cośkolwiek postępuje: ale niemniej postęp jest, i światło jest, i dobro jest — tylko jeszcze bardzo nisko, bardzo dalekie od ideałów rozumu. Zwolna ale ciągle, rozszerza się i rozjaśnia ta droga przez naturę do wieczności, do tego nieznanego celu, nazwanego Bogiem. A byłoby to możliwe bez udziału rozumu, obejmującego wszystko z góry, bez udziału miłości łączącej człowieka z człowiekiem, choćby najpośredniej, w najoderwaniszym od konkretnej rzeczywistości pojęciu? Bez tych dwóch czynników, rozumu i miłości, niemożliwą byłaby cywilizacja, niemożliwą kultura duchowa, niepojętym cały dotychczasowy dorobek ludzkości. Powierzchnowne tylko, jednostronne myślenie widzi w życiu jedynie ciągle urzeczywistnianie się zasady *homo homini lupus*: ma człowiek dla człowieka pazury, ale ma i serce. Obok niszczącego egoizmu staje i dobroczynna troska, myśl niepokojąca się o tysiące i miliony; tylko nie szukajmy jej w tej strasznej jaskini, jaką nam księga dziejów powszechnych ukazuje. Chcąc postęp uznać, potrzeba patrzeć na trudy uspołecznienia, na koleje oświaty i nauk, na dzieła miłosierdzia i opieki, jakich dawne wieki nie znały, na coraz wyższy i coraz więcej wymagający ideał moralno-obyczajowy, na coraz doskonalsze opanowywanie natury i rządzenie jej siłami, stanowiące zadanie cywilizacji a ułatwiające zadania prawdziwej uprawy duchowej, która dopiero o podniosłości życia rozstrzyga. W tem wszystkim widać myśl miłosną: i myśl ta jest prawowitszą rodzicielką postępu, niż potrzeba, która była tylko bodźcem, ale nie twórcą. Jeżeli więc z pomocą tego czynnika tyle się już dokonało — a dokona się jeszcze tak wiele, że wieki przyszłe uważać będą dzisiejszy nasz byt za stan barbarzyństwa, ciemnoty i niemoralności — nie zrzekajmy się go i przynosmy do ogólnej „pracowni idei, mających kierować życiem także i miłosną myśl swoją. Obmyślajmy dla ludzi dobro rozumne, a podawajmy je z miłością. Praca owej filo-

zofii moralnej nie jest i nie będzie nigdy straconą: choćby bowiem nie wytknęła światu dróg nowych, to przez rozjaśnienie pojęć wzmocni charakter i zdolniejszemi je do spełniania podniosłych zadań życia uczyni.

A teraz do rzeczy. Książka, nad którą się zastanawiamy, nie jest wcale pospolitym wyrobem pióra; jej krytyka stosunków publicznych w Europie ma prawo do tego, aby ją zapamiętać: a to już wiele, jeśli coś na pamięć sobie zasłuży. Autor myśli samoistnie, opiera się na własnych przekonaniach, czerpie z własnego umysłu i, z wyjątkiem pojęć podrzędnych, umie w całości swej krytyki utrzymać jedność, harmonię, tę niepodzielnią duszę prawdy, która sama jedna tylko wzbudzić może szacunek dla myślenia. Wykazywanie fałszu panującego wszechwładnie, podawanego i podtrzymywanego jako prawda nieomylna, zdzieranie maski z obłudy i niedołęstwa, odkrywanie ślepego mechanizmu podstawiającego się w miejsce życia, jego potrzeb i celów, piętnowanie przemocy gniotącej prawo, egoizmu udającego miłość, natury idącej wbrew naturze, — te są wytyczne linie jego myśli i po tych liniach myśl jego krąży swobodnie niewstrzymywana żadnemi względami. Genialności, wielkiej duszy, w tej książce niema, ale jest dużo zdrowego krytycyzmu, rozsądku, szczerości i odwagi. Uderzając na konwenans, owczy popęd, modę, bezmyślne przywiązanie do tego, co istnieje — autor sam wolnym jest od konwenansów, rozbiera rzeczy do naga, jak powinien czynić każdy pisarz zwłaszcza filozoficzny, chcący być czytany. Dlatego książka jego zajmuje; można się na nią nie godzić, ale, raz wzięwszy do ręki, odłożyć ją trudno. Waga jej główna pada na stronę stosunków publicznych; znajdują się jednak prawdy i zakresów innych, z życia religijnego, moralnego, obyczajowego. Osobny rozdział traktuje o *kłamstwie w małżeństwie*. Poznajmy to kłamstwo.

Zarówno w narodzie, jak w małżeństwie, przeważać powinien altruizm nad egoizmem; im większa liczba małżeństw, im więcej pragnących uzupełnić się przez małżeństwo, tem większa żywotność w narodzie, a przy tej żywotności naród wart jest tem więcej, im silniej rozwinął się w nim popęd do bohaterstwa, zaparcia się i oddania na ofiarę powszechności. Zarówno rodzina, jak naród upadają wskutek przewagi egoizmu: jego panowanie jest oznaką niknącego już życia w powszechności narodu, rasy, plemienia. Małżeństwa zawierają się wtedy bez miłości, z egoistycznych pobudek, dla interessu, z zimnem sercem, ze złą wolą; w samem zawarcu ich tkwi już występki. Taką właśnie epoką upadku jest ta, w której my żyjemy. O miłość w małżeństwach dzisiejszych dba się równie mało, jak o uczucie w układach zawieranych przez kapitalistów. Interes osobisty stanowi jedyną pobudkę do takich związków; żadnego uświęcenia moralnego, żadnego uczuciowego węzła. Jedno nie pragnie żyć dla drugiego, chce tylko zyskać lepsze dla siebie warunki istnienia — warunki materyalne, oczywiście — któreby zapewniły używanie rozkoszy życia. Nieinaczej zawierają się małżeństwa u ludów w stanie natury zostających; ale to, co ma być wrzekomem usprawiedliwieniem złego, samo nowego przeciwko złemu dostarcza dowodu: tam bowiem indywiduacja jest bardzo słabą, jedna jednostka drugiej wartością dorównywa, serce nie potrzebuje wyboru, a sam związek trwać może i bez miłości, nie burząc porządku i dobra społecznego. Ludy pierwotne mogą żyć we względnej pomyślności bez tego, czego brak społeczeństwa cywilizowane do zguby prowadzi. Z nikczemnych związków rodzi się potomstwo nikczemne; pokolenie za pokoleniem karłowacieje, inteligencja wrodzona coraz bardziej upada. Pogwałcenie darwinowskiej *Selection*, rozciągniętej do całości istoty, mści się na późniejszych pokoleniach. Upadek arystokracji w całym świecie ztąd się począł.

Poza obrębem nawet wpływów wychowawczych, wielka część winy spada na rodziców. Wtedy już, kiedy dziecko jest dojrzałym, kiedy się już wychowanie jego skończyło, rodzice, na swoim urzędzie zwierzchników moralnych, otwierają mu na oścież wrota do złego. Dziewczynie biednej nie wolno kochać, każde drgnięcie jej serca stoi pod miarą; każdy uśmiech stosuje się do wysokości docho-

¹⁾ Die conventionellen Lügen der Kulturmenschheit, von Max Nordau. Dritte Auflage, Leipzig, 1884, 2 k. nlb. i str. 421; in 12-mo maj.

dów, jakie posiada ten, komu go przeznaczono. Polowaniu na posagi odpowiada polowanie na mężów, do którego rodzice, ciotki i stare kuzynki zaprawiają biedne stworzenie, rozpoczynające życie od fałszu. Ze względu jednak na prawo początkowania służące mężczyźnie w staraniach przedmażeńskich, polowanie na mężów nie jest jeszcze tak powszechnem, tak zgubnem, jak polowanie na posagi. Istnieje w społeczeństwach dzisiejszych osobna klasa łowców posagowych. Ubięra się to według pierwszej mody, fryzuru sobie włoży i o milę już cuchnie perfumami; tańczy wybornie, umie się kręcić i wykręcać w towarzystwie, rozprawia o sporcie i zna tajemnice kulis teatralnych; sprowadza furi bukietów i cukierków — najczęściej za pożyczane pieniądze, — umie list napisać a w potrzebie nawet i wiersz miłosny sklecić. Tym sposobem łapie się złotą rybkę na wędkę, a rybka złota zbyt późno poznaje, że nie była bohaterką żadnego tam dramatu lirycznego, ale prostą liczbą w rachunku.

Od zwyrodniałych jednostek klas wyższych ktośby wymagał idealu! Wielką już jest rzeczą, gdy się w małżeństwach takich wstyd uszanuje; ale zazwyczaj szanuje się tylko przyzwoitość. Życie zmysłowe — to wszystko: pan dba o swoje podniebienie i żołądek, nabiera sławy w świecie baleryn i szulerów, zna się na winach i cygarach, jest stałym gościem klubów; pani szaleje za modami, i obmyśla coraz-to szaleńsze, stara się na każdym kroku prześcignąć swe przyjaciółki; intryguje, kłamie, obmawia, a życie bez miłości wynagradza sobie łamaniem wiary małżeńskiej.

Taka jest dziś na Zachodzie, w wielkich ogniwach życia, większość małżeństw w klasach średnich i wyższych: przerażający obraz. I to wszystko nazywa się miłością, wiarą, posłuszeństwem i uczciwością małżeńską!

(Dokończenie nastąpi).

ECHA Z CZECH.

Otwarcie teatru narodowego. — To i owo. — Osobne pociągi teatralne. — Goście w Pradze. — Wieczorek Mickiewicza. — Zgoda. — Czeska książka o Polakach. — Polki i Czeszki. — Z historii. — Dziesięć lat istnienia Żefskich Listów. — Z ruchu literackiego. — Nowe czasopisma.

Nastąpiła nareszcie szczęśliwa ta chwila, że korespondent wasz może już wyjść z zakłętego koła krążenia wciąż wkoło jednego i tego samego przedmiotu. Wcale nie przyjemnym obowiązkiem było donosić wam przez długi szereg lat „o przybliżającej się chwili otwarcia teatru narodowego,“ czasami zdawało nam się nawet, że sprawą tą świat nudzimy i z niecierpliwością wyczekiwalimy momentu, który, jak wiecie, był dla nas uroczystością nieporównaną.

Podwoje świątyni muz czeskich otworzyły się! Przekroczyliśmy nareszcie wspaniały próg złoto naszego domu, który był ideałem 30-letnich marzeń patriotycznych i Fenixem z popiołów powstałym. Dnia 18 Listopada zabrzmiało na scenie *velkého divadla narodního* pierwsze czeskie słowo i pierwszy ton czeskiej muzyki. Rozległy się pierwsze oklaski, pierwsze wykrzyki zapalu. Zajaśniał pyszny gmach w pełnym swym uroku, tak idei, jak i tych murów, które jej ciałem były; światło elektryczne blaskiem swych promieni zaświeciło na koniec temu, na co czekano tak długo — tak długo!!!

Dziś mamy przed sobą fakt już spełniony, fakt, o którym ktoś słusznie powiedział, że doniosłość jego pojąć zupełnie mogą tylko sami Czesi.

Nie będę opisywał wam szczegółowo uroczystego otwarcia naszego *divadla*. Praga ugaszczwała w swoich murach przedstawicieli prasy polskiej, więc wiecie już, jak i co działo się u nas w dniach szczęśliwych tego narodowego naszego święta. Trzeba mi tylko donieść obecnie, jak teraz rzeczy te u nas stoją. Otóż, choć przedstawienia w Narodowym Teatrze regularnym trybem idą, niemniej każdy dzień przynosi nam nową a miłą niespodziankę. Wiecie, co wróżyli nam tu Niemcy, wiecie, że jeszcze drugiego dnia po pierwszym

przedstawieniu telegrafowano do wiedeńskich gazet z Pragi, że w nowym teatrze są „już teraz pusty“⁴. Tymczasem dodziśnia bardzo trudno dostać się do teatru, gdyż codziennie wszystkie bilety już zrana są rozprzedane i liczne zastępy wracają z próżnymi rękami od kasy. Zresztą, kto umiał teatr wybudować, umie go też napełnić. Prócz tego teatr nasz względnie do publiczności, przedstawia codziennie inny charakter, gdyż codziennie zbiera się w nim inna publiczność — nie prazka tylko, ale i prowincjonalna, która osobnymi pociągami śpieszy do Pragi. Koleje czeskie wszystkich stron naszego kraju urządzają osobne *pociągi teatralne*, które co wieczór massami przywożą publiczność z prowincyi. Tym sposobem powiaty nasze zamawiają kolejno prawie cały teatr na obrane wieczory. Tak na przykład przyjechało miasto Kolín osobnym pociągiem — przeszło 500 osób, zajęło jednego wieczora wszystkie łóżka i krzesła. Były już i inne miasta, niemniej licznie reprezentowane, a zgłaszają się ciągle nowe i nowe. Powiat raudnicki zakupił miejsca w całym teatrze na jeden wieczór — przybędą jak chmura i w tym dniu nie będzie dla Prażan miejsca w teatrze.

Z tego widać, że troskliwość prasy wiedeńskiej jest wcale zbyt czułą.

Nie podobało się też Niemcom, że na obchód uroczystości otwarcia teatru przybyli pobratymcy Czechów, zwłaszcza Polacy, którzy ponownie dali nam piękny dowód solidarności z narodem pokrewnym. Wszyzy też, którzy znad brzegów Wisły do Pragi przybyli, mogą być przekonani, że obecność ich była dla Czechów prawdziwą satysfakcją i że zostawili nad Weltawą wspomnienia jaknajmilsze.

Od spraw teatru przechodzimy do rzeczy mającej bezpośrednią styczność z wami; z przyjemnością donosimy dziś o wieczorku, urządzonym w tych dniach na uczczenie pamięci Adama Mickiewicza. Mielśmy w Pradze — prawda — i świetniejsze wieczorki, — jednak ten, o którym donosimy, zasługuje na szczególną uwagę, ponieważ dał sposobność do wzajemnej, zgodnej czynności obu w Pradze istniejących towarzystw polskich. Nareszcie połączyły się *Kolo Polskie* i *Ognisko* i urządziły wspólnie wieczorek, który szczególnie dlatego nam był miły i drogi, żeśmy w nim odczuwali ducha zgody i porozumienia się bratniego. Nie brakowało Polaków, ani z tej, ani z tamtej strony, a Czesi zebrali się bardzo licznie i sala była publicznością napełniona zupełnie. Programmat, starannie ułożony, odpowiadał celowi i szlachetnie przedstawiał tak Polaków, jak Czechów. Po krótkim powitaniu, wygłoszonem przez p. Muzykę, miał p. Y. V. Fricz, znany literat czeski i przyjaciel Polaków, odczyt o znaczeniu i wpływie Adama. Gorące jego słowa, wypowiedziane z nadzwyczajnym talentem oratorskim, przyjęła publiczność z wielkim zapalem. Z innych numerów barwnego programmatu wymieniam deklamacyą panny Melanii Parczewskiej, bawiącej chwilowo w Pradze. Deklamowała ona z uczuciem ustęp: *Koncert nad koncertami*, co publiczność z niezmiernym przyjęciem zapalała. Dalej śpiewała primadonna nasza panna Reich pieśni polskie (z Halki) i czeskie, p. Rossi koncertował na fortepianie (Mozkowskiego „Tarantellę“), p. Sobotka na skrzypcach zagrał mazurka Wieniawskiego a oktet zaśpiewał pieśni narodowe. Po wyczerpaniu programmatu urządzono tombolę na korzyść pomnika Mickiewicza i dobrze się bawiąca publiczność napełniała salę Umieleckiej Besedy długo po północy. Byli tacy, co powracali do domów nad ranem.

Zacnych gości na tym wieczorku polskim było niemało; między nimi widzieliśmy burmistrza miasta Pragi i rektora czeskiego uniwersytetu, d-ra Raudę. Co się tyczy burmistrza, d-ra Czernego, jest on i być musi w gronach polskich osobistością coraz popularniejszą i sympatyczniejszą. Pomimo ogromnych swoich zajęć, nie brakuje osoby jego na żadnym polskim wieczorku, zawsze bywa i serdecznie się interesuje wszystkim, co obchodzi Polaków. Zna dr. Czerny też literaturę polską znakomicie i w bibliotece swej chowa jej arcydzieła. Słowem, dr. Czerny jest burmistrzem, jakich Praga niedużo liczyła, i takim przyjacielem naszym, jakich życzymy wam jaknajwięcej.

Jeszcze przed nowym rokiem wyjdzie w Pradze

zpod prasy czeska książka, której treść poświęcona jest wyłącznie Polkom. Na 200 stronicach opowiada autor czeskim czytelnikom o ich siostrach nad Wisłą, stawia je za wzór pod niejednym względem, nie szczędzi pochwał i składa hołd — najwyższy. O co autorowi głównie chodziło, pisząc o Polkach, łatwo zrozumie ten, kto bliżej poznał towarzyskie stosunki czeskie, — zapewne nie miał on zamiaru pisać tylko pustych komplementów, skierowanych do tego, aby się podobały w Polsce. Cel tej książki wcale inny...

W przedmowie książki wyraża autor życzenie, aby Czeszki zasłużyły też sobie na podobną o nich napisaną książkę, a ofiarowaną nawzajem Polkom. Książka bowiem znajdująca się obecnie pod prasą w Pradze dedykowana jest: *Siostram pań polskich w Czechach i na Morawie*.

Nasuwa się teraz pytanie: czyby istotnie warto było wydać dla Polek książkę o Czeskach?

Rozstrzygnięcie tej kwesty pozostawiamy innym; przeglądając jednak rocznik dziejów czeskich od czasów najdawniejszych do dni współczesnych, zmuszeni jesteśmy wypowiedzieć skromnie zdanie, że napisanie książki o czeskich siostrach pań polskich — o Czeskach, mogłoby także mieć swoje znaczenie i dla Polki, bo Czeszki mają też zalety swoje, przed którymi należy odkryć głowę z uszanowaniem. Ogólnie biorąc, jest niemało różnic pomiędzy Czeskami i Polkami pod względem ich stanowiska społecznego nowszych czasów, lecz tu i tam ma kobieta swe *pewne*, mniej więcej *indywidualne* przymioty, których przez to, że różny mają charakter, porównywać ze sobą nie można. Inne są stosunki w Czechach, inne w Polsce — ztąd tu i tam inny musiały wywierać wpływ na kobiety.

Zapewne nikt, kto w Czechach o Polkach pooblebnie pisał, — pisze, lub pisać będzie, nie czynił to z zamiarem, aby z ujmą dla Czeszek przechwalać Polki. Niewdzięcznością i nieświadomością byłoby nieuznawać wielkich zalet kobiet czeskich, które nam przecież wychowały plemię, odradzające naród ze snu i upadku stuletniego, i które prócz tego, niemałej, niż w Polsce, są najwyższą pociechą i filarem szczęścia w życiu rodzinnem. Jeżeli ogół współczesnych kobiet czeskich nie czyni za dość surowym, choć słusznym, wymaganiem coraz to szerzej rozwijającej się idei czeskiej, i jeżeli z tego względu stawia się wyżej kobiety inne, to niemniej nie mogą być zapoznaniami cnoty ich osobistej i rodzinnej. A zresztą i pod względem społecznym może Czeszka patrzeć w przeszłość z dumą prawdziwą; jeżeli czas niedoli narodowej i los kraju wpłynęły na osłabienie ducha — to nie jej wina!

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE.

Paryż d. 6 Grudnia 1883 r.

Uspokojenie polityczne we Francyi. — Pan Zygmunt Krzyżanowski (Lacroix) w izbie Deputowanych. — Maiden Speech i burmistrzostwo paryzkie. — Jeszcze pani Remusat i jej listy. — Korespondencya prywatna Ludwika Veuillota. — Charakterystyka tych listów i ciekawe wyciągi. — Koniec roku. Kosztowne i ozdobne wydania. — Album ilustracji do dzieł Alfreda de Musset. — Reprodukcyje akwareli Eugeniusza Lamy. — Oprawa książek we Francyi. — Artystyczna strona tego rzemiosła. — Ostatnia powieść Zola *Nais Micoulain*. — *Smutki i uśmiechy* Gustawa Droza.

Polityka tutejsza zjechała na równiejszą drogę. od czasu właśnie sławnej owej demonstracji urządzanej tak dowcipnie na przyjęcie w Paryżu Króla Hiszpańskiego. Tak, prawdą jest, że niema tego złego, co by na wyszło na dobre. Z jednej strony rozważa, z drugiej uspokojenie, sprowadziły rząd do ujęcia mocniejszą ręką tej mitycznej figury, znanej pod nazwiskiem: steru rządowego okrętu. I wypłynął też ów okręt na spokojniejsze wody, albo, przynajmniej, lepiej teraz steruje, wśród rozhukanych bałwanów, mówiąc bez żadnej przenośni.

Uspokojenie to dało się zaraz uczuć i przy tak wyczekiwanej dyskusji o Wyprawie Tonkińskiej, a jeszcze wyraźniej w sprawie niezależności Paryzkiego Burmistrzostwa. Z tego powodu kro-

nikarz wasz musi wspomnieć o wystąpieniu na szerszą scenę polityczną we Francji jednego z naszych rodaków, a przynajmniej pochodzącego z krwi polskiej, posła do Izby Francuskiej, wybranego w Paryżu.

O panu Zygmuncie Krzyżanowskim, alias *Lacroix*, mówiono już, i tu, i na innym miejscu. Czytelnicy znają dostatecznie osobistość tego Sarmaty z Belleville, jak go tu nazywają niechętni mu ludzie. Nie wracam więc do tego wyczerpanego przedmiotu biograficznych wiadomości, a idę wprost do rzeczy; to jest: do pierwszej mowy p. Lacroix, powiedzianej w Parlamencie, gdzie załaj wakujące miejsce po Gambecie.

W Anglii, kiedy wydatna jaka osobistość po raz pierwszy zabiera głos w Parlamencie, zwykle w ważnej sprawie, mowie takiej nadają nazwę: „*Maiden Speech*“ (Mowa dziewczęca). Taki to więc *Maiden speech*, wygłosił w Izbie Poselskiej p. Lacroix, że go tem francuzkiem ochrzczę tłumaczeniem, na posiedzeniu dn'a 6 Listopada. Kwestya, w której nasz rodak głos zabrał, była to, jak mówiłem, kwestya niezależności obieralnego burmistrza miasta Paryża i Rady Miejskiej od rządowych wpływów. Jest to *Regnum in Regno*, w całym znaczeniu tych wyrazów, ze względu na stanowisko, jakie zajmują Paryż we Francji. Zabranie głosu w tej kwestyi było jednym z warunków nałożonych p. Lacroix przez jego wyborców, wskutek przyjęcia przez nich *mandatu nakazującego* (*Mandat impératif*).

Dawniejszy mówca w klubach, dawniejszy członek Rady Miejskiej Paryskiej, pan Lacroix posiada wielką bardzo łatwość mówienia i doskonałą znajomość wszystkich słabych i mocnych stron swojego przedmiotu; a chociaż nie jest on wcale wielkim mówcą, w znaczeniu naprzykład poprzednika swojego — bo zbywa mu i na dziesięć strunach głosu i na pewnym natchnieniu które samo tylko tworzy wielkich, porywających mówców — przecież jest to człowiek posiadający dar słowa, a zarazem i tę logikę rozumowania, która w politycznych zgromadzeniach łatwo w danej chwili pociąga za sobą większość swoich słuchaczy: ma zatem przyszłość przed sobą.

Jego *Maiden Speech* był bardzo umiarkowany co do formy, i dobrze wystudowany co do samej rzeczy. Naturalnie, bronił mówca zasady niezależności zupełnej, ale bronił jej jako człowiek przekonany rozumem i doświadczeniem, o prawdziwości i prawności swoich żądań, nie zaś, jako jakiś zagorzały klubowy sektarz. Przyjaciele i stronnicy nowego posła z lewicy urządzili mu pewien rodzaj bardzo pochlebnej owacy, a rzęsiście, chociaż nie gwałtowne, oklaski pociągały często za sobą głośnie uznanie ze strony całej prawicy izby.

Zakończenie mowy, zręczne i świetne, podkreślone zostało — szczególnym naciskiem oklasków. Pójdę i ja w ich ślady, a choć bez oklasków, dam wam tłumaczenie tych kilku słów ostatnich pana Krzyżanowskiego:

„Moim zdaniem — mówił — prawdziwy porządek, mieści się w tej regularnej funkcji, indywidualnych i gminnych (*communales*) swobód (oklaski).“

„Paryż żąda swej autonomii, żąda jej wszakże, nie dlatego jedynie, że pragnie być wolnym w swych murach; ale dlatego jeszcze, że chciałby, aby jego geniusz, który jest wynikiem geniuszu Francji całej (w ten sposób albowiem jedynie Paryż należy rzeczywiście do Francji), że chciałby, aby usługi dla wolności i cywilizacji, do oddania których wezwany być może, rozeszły się, dzięki jego nieustannemu wpływowi, na prowincję i na świat cały (oklaski na ławach lewicy). Dlatego-to, aby mógł Paryż udzielić całej Francji swojego ducha poświęcenia dla sprawy wolności, żąda dzisiaj wolności dla siebie samego. I powiadam wam, kończąc rzecz moją: nie obawiajcie

się Paryża! Przyjdzie dzień może, kiedy będziemy zmuszeni odwołać się do jego wiary w demokrację i do jego republikańskiego zapалу!“ Mówca opuszcza mównicę, przeprowadzony hucznymi oklaskami na wszystkich ławach lewicy.

Z powodu „Pamiętników“ pani de Remusat, czytających się Pierwszego Cesarstwa, w *Bluszczu*, jako w specjalnej kronice niewieściej, dano obszernie miejsce rozbirowi tego dzieła i uwagom o autorze i o jego literackiej wartości. Nieszczędzono pochwał; utrzymywano nawet, że te pamiętniki dopiero dały nam poznać prawdziwego Napoleona I. Wasz kronikarz milczał z umysłu, bo wyznaje szczerze i otwarcie, że mu są podejrzaną i wstrętne owe niby prawdy, wypowiedziane przez osoby, jak naprzykład p. de Remusat, których niezależność, prawdomówność, są zwykle jutrzejšie a nigdy wczorajsze, to jest: te ich surowe sądy przychodzą po namyśle i rozmyśle.

Ta zresztą prawdziwość, która stara się przede wszystkim wynaleźć i pokazać wady i niedostatki, ważnych wypadków i wielkich ludzi; która w dolegliwości nagniotka widzi źródło najważniejszych fenomenów współczesnych — wstrętną mi jest nad wszelki wyraz, i nie cierpię oszczerców i obmowy, pod jakąbądź formą i z jakimbądź urokiem słowa, czy pióra. Jest to może wada natury — ale kiedy tak zawsze było, niechże zostanie do końca.

Ten rodzaj literatury nigdzie może nie jest, ani tak obfitym, ani tak usilnie uprawianym, jak we Francji, a zwłaszcza w Paryżu. Ploteczki rozsiewać i słuchać ploteczek, jest to rzecz wspólna wszystkim wielkim miastom; ale w Paryżu ta mała niby słabostka dochodzi prawdziwie do olbrzymich rozmiarów. Oszczerstwo jest bronią zaczepną i odporną do codziennego użytku; a przez długie lata tak się tu wyćwiczono w tym rodzaju literatury, iż przechodzi to już wszelkie pojęcie. Gdyby dzięsia część tylko tego, co się drukuje codziennie, była prawdą, należałoby przypuścić, że Paryż zamieszkuje ludność złożona z łotrów i łotrzyków, i że ten piękny kraj, jest jakąś *spelunca latronum*!

Nn szczęście tak nie jest; a ci wielcy rzecznicy prawdy, są to szczerzy kłamcy, podobni do tych konferencyonalnych naturalistów, którzy nam w kropelce wody, we łzie kochanka, w okruszynie ledwie dojrzanej owocu, zapomocą ogromnych szkieł drobnowidzowych, pokazują całe morza węzów i smoków, gotowych na pochłonięcie ludzkości całej. A przecież lzy te ściągają bez urazy przychylne usta kochanych, wodę pije świat cały — a owocami dławia się smakosze.

Tak się też stało z owymi pamiętnikami Bourienne'a, Junga, pani de Remusat, a dawniej jeszcze p. d'Abrantès; dowiedzieliśmy się z nich o kilku

więcej słabostkach, którym ulegał wielki człowiek; prawdę mówiąc, domyslał się tego już dawno, że nie był on bez *ale*, a przekonaliśmy się w końcu: że jeżeli niema, niestety, człowieka tak wielkiego, aby już przestał być człowiekiem i pozbył się słabości natury ludzkiej — to równie pewną jest rzeczą, że znowu i największe słabości i wady nie mogą stworzyć nic — chyba wielkiego łotra!

Dzisiaj mamy inny trochę rodzaj literatury, tejsamej autorki. Są to: *Listy matki do syna*. Jesteśmy tu w innej epoce, wśród innych okoliczności politycznych i społecznych; a autorka, chociaż nie opuszcza zupełnie dawnego pola kronikarskich poglądów, zmienia jednak sposób zapatrywania się, a nawet i styl. Z kronikarza staje się pisarzem listów; z autora pamiętników staje się matką. Widocznie wkłada to na jej pióro ogromny hamulec.

Mamy tu zresztą listy matki i odpowiedzi syna. Było to za czasów Restauracji Burbonów. Matka, Janina de Remusat, z domu Gravier de Vergennes, dama dworu cesarskiego i przyjaciółka Józefiny, jest już dojrzałą matroną. Syn, młody, szuka swej drogi i jak sam się wyraża: „Może wstąpi do wojska, a może się ożeni z córką szewca“; ale pisze to widocznie jako początkujący filozof, aby się pośmiać trochę. — bo jak wiemy, pozostał na drodze prostej, a manowce zostawił gołętszym lub słabszym.

(Dokończenie nastąpi)

OD WYDAWCY.

„Bluszcz“ w przyszłym roku wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratorom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 4-ty powieści p. t.: **Widmo szczęścia**.

KSIEGARNIA NAKŁADOWA MICHAŁA GLÜCKSBERA

o r a z

REDAKCJA PISMA

BLUSZCZ

przeniesione zostały

na ulicę Królewską do domu № 5 nowy.

TREŚĆ. Pogawędka. — Książki dla dzieci i młodocianego wieku, (dokończenie), przez M. L. — Gość na wigilię Bożego Narodzenia, (dalszy ciąg). — Korrespondencya zagraniczna, (Poznań). — Dwa kłamstwa wieku, przez Stanisława Krzemińskiego. — Echa z Czech, przez Edwarda Jelinka. — Nowiny paryżkie.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.

Варшава, 7 Декабря 1883 года.